Nr. 22. Lwów — 1888 r. Rok XI.

Numer pojedyńczy 15 ct.

GONIEC

Numer pojedyńczy 15 ct.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH.

„Goniec“ i „Iskra“ wychodzą każde po dwa razy na miesiąc — razem cztery razy. Prenumerata na obydwa pisma wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie: 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce 20 franków rocznie — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granica ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych: **do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie, ul. Ossolińskich l. 10.** Listy powinny być frankowane. Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi 5 ct. miesięcznie.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



Pasteur.

Pasteur.

(Do ryciny).

Metoda leczenia, a właściwie powiedziawszy, zapobiegania paroksyzmom wścieklizny, należy, bez wątpienia, do największych zdobyczy naukowych w ostatnim czasie, z jakich ludzkość korzystać może, Wynalazcą tej metody jest francuz Pasteur, jakkolwiek wielu już poprzednio uczonych, a mianowicie lekarzy, na tej drodze robili pewne odkrycia, szczególniej ci, którzy się specjalnie zajmowali studjami nad cholerą. Metoda Pasteura zasadza się na zaszczepieniu jadu wścieklizny w organizm i tym sposobem ochronienia go od naturalnej wścieklizny — coś podobnego, jak dzieje się z ospą. Pasteur rozpoczął swoje doświadczenia na zwierzętach i przekonał się, że, gdy n. p. królikowi zapuści się pod najwydatniejsze miejsce czaszki zarazek wścieklizny (rodzaj szpiku — moelle) otrzymanego ze zwykłego psa wściekłego, to królik taki dostaje wścieklizny w przeciągu dni czternastu. Zarazek ten, nie jednakowo działa, a odpowiednio kultywowany sprowadza wściekliznę i w ciągu siedmiu dni — jeśli zaś jest słaby, to zdarza się, że nie sprawia żadnych skutków. Doświadczenia robione na zwierzętach, zastosował uczony francuski do ludzi. Pasteur po raz pierwszy zdecydował się zastosować szczepienie wścieklizny na człowieku w 1885 roku i dokonał tego na małym chłopaku Józefie Meister pochodzącym z Alzacji — chłopiec został wyleczony. Od tej pory Pasteur wyleczył mnóstwo zgłaszających się do niego z całego świata, a nadto metoda Pasteura znalazła apostołów wśród lekarzy, którzy takie same lecznice pozakładali w wielkich miastach — w Warszawie n. p. Dr. Bujwid, leczy metodą Pasteura i posiada własną, na ten cel urządzoną lecznicę.

Pasteur, którego dajemy portret w dzisiejszym numerze, zamieszkały obecnie w Paryżu, urodził się w 1822 roku w Dôle — doktorat nauk przyrodzonych otrzymał 1847 roku, ale z zawodu lekarzem nie jest. W różnych czasach i w różnych najwyższych instytucjach naukowych wykładał Pasteur fizykę, geologję i chemję. W 1862 roku został członkiem akademji nauk, członkiem zaś akademji francuskiej obrany był w 1881 roku na miejsce Littre'go. Od rządów obcych, jak angielskiego, austryjackiego i innych, otrzymał Pasteur ordery, nagrody i premje — rząd francuski obdarzył Pasteura wielkim krzyżem legji honorowej. Pasteur jest prawdziwym dobroczyńcą ludzkości.

Niepolityczna polityka.

Dowiedział się o tem świat cały, że nowa cesarzowa niemiecka Wiktorja, odwiedziła stolicę Wielkopolski.

Nasi politycy, a nawet i nasi przyjaciele, których przecie mamy jeszcze trochę po rozmaitych kątach Europy, zrobili z tego fakt, niemal historycznej doniosłości.

W rezultacie okazało się nic — a z niczego, nie będzie także nic więcej, jak tylko... nic.

Ani jednem mrugnięciem oka cesarzowa niemiecka nie zadokumentowała swojej sympatji i uczucia dla odrębnej narodowości polskiej — była grzeczną dla wszystkich. Kto teraz nie jest grzeczny?... Gdy się zbierał kongres berliński, nieboszczyk Dobrzański i także nieboszczyk Niegolewski wnosili na ręce Bismarcka w Berlinie memorjał w sprawie polskiej. Poszli tedy do Bismarcka— czy myślicie, że ich nie przyjął, albo obszedł się z nimi źle? Gdzie tam! Przyjął ich bardzo grzecznie, każdemu podał rękę i objaśnił, że memorjał należy wnieść na ręce sekretarza protokołu kongresowego. Oczywiście, zastosowano się do objaśnienia Bismarcka i na posiedzeniach kongresu, ani jednego słowa nikt nie wspomniał o memorjale w sprawie polskiej — ale Bismarck Dobrzańskiego i Niegolewskiego przyjął bardzo grzecznie... Zaręczam państwu, że kanclerz niemiecki da z kilka set marek na dotkniętych powodzią w Wielkopolsce, bo miłosiernym także jest książe Bismarck... Toż miłosiernym był i ten Kuba z pod Tarnowa, który, gdy mordowano jego dziedzica, stał na uboczu i mówił: „rżnijta tam go chłopcy pomalusku, bo to dobre było panisko...“

Hrabina Honoryna Kwilecka przemawiała, niby w imieniu polek wielkopolskich do cesarzowej Wiktorji — przemawiała po francusku. Cesarzowa nie powiedziała nawet merci, a jeśli rozmawiała z paniami polskiemi, to tak sobie, de lana caprina... Z naciskiem donoszą, że cesarzowa przyjęła od pań polskich dwa bukiety... Ciekawi jesteśmy, co miała cesarzowa zrobić, gdy jej bukiety ofiarowano — może nie przyjąć?...

Polacy, a raczej szlachta w Poznańskiem, oprócz ziemi, którą własnowolnie usuwają z pod nóg, tracą, co raz bardziej zmysł polityczny. Wizyta cesarzowej niemieckiej w Poznaniu dała tego przekonywające dowody. Jeśli była potrzeba okazania cesarzowej, że jest na ziemi polskiej i wśród polaków, to trzeba było tę sposobność znaleść, a do niej niktby przeszkodzić nie mógł — jeśli zaś, wiadomem było, że przyjazd cesarzowej do Poznania nie miał najmniejszego charakteru politycznego, a wszelkie pogłoski o sympatji obecnych cesarstwa dla polaków, są zmyślone, albo banalne — to trzeba było zachować się zupełnie obojętnie, bo łaszenie się w politycznych sprawach tam, gdzie tępią naszą narodowość, do niczego nie prowadzi.

Czem możemy być dla tych, którzy szanują naszą narodowość i nasze prawa — wie o tem monarcha austrjacki, kochany szczerze przez wszystkie stronnictwa polityczne i przez cały naród polski, bez względu na kordony, jeśli mamy prawdę powiedzieć...

Ale my tak jesteśmy skłonni do tego obrzydliwego serwilizmu i bajek politycznych, że kto wie, czy pewnego pięknego poranku nie przyjdzie z Berlina wiadomość via Poznań, iż cesarzowa Wiktorja ze swoich oszczędności postanowiła akcje zakupić banku ratunkowego w Poznańskiem i Prusach zachodnich, aby tylko polacy nie sprzedawali siedzib swoich pruskiej komisji kolonizacyjnej...

Dlaczegoby nie... Cesarzowa Wiktorja taka jest oszczędna — pieniądze ma — to nie ulega wątpliwości, a polaków potrzebuje dla księcia Aleksandra Battenberga, który może jeszcze królem polskim zostać...

Od ręki.

= Śmierć uwija się z nie zwykłą energją po niwach literackich polskiego piśmiennictwa...

Niedawno pisaliśmy pośmiertne wspomnienia ś. p. Jarochowskiemu, Sabowskiemu i Romualdowi Starklowi — dziś przychodzi nam znowu prowadzić w dalszym ciągu żałobną kronikę literacką... Co smutniejsza — schodzą do grobu pracownicy pióra młodzi, lub w całej sile męskiego wieku... Sił literackich nam ubywa, a najmłodsze pokolenie nie dostarcza ich tyle co ubyło, a co przykrzejsze, że piszący po trochu z wśród młodzieży przybywają, ale talentów nie widać — ani jednego...

Od kilku miesięcy znikł Bolesław Spausta i dopiero teraz Dniestr wyrzucił zwłoki jego... Że odebrał sobie życie — nie ulega wątpliwości, bo ś. p. Spausta, zanim wyjechał na wieś, do brata swego pod Komarno, zdradzał i to dość silne pomieszanie zmysłów... Ś. p. Spausta był par excellence dziennikarzem urodzonym we Lwowie i wychowanym wśród tutejszych stosunków pomimo to, jako krytyk w dziale malarstwa i rzeźby, był obdarzony głębszem i szerszem wykształceniem estetycznem — studja jego w tym rodzaju, jak n. p. o Grottgerze, mogą być zaliczone do wyczerpujących... Dziennikarski zawód zacieśnił jednak działalność talentu zmarłego, który w ostatnich latach pracując w redakcji „Kurjera Lwowskiego“ odosabniał się i zmarł dobiegłszy zaledwie czterdziestu lat życia...

Bolesław Czerwieński umarł prawie nagle, bo zaledwie tydzień naprawdę chorował na zapalenie płuc, a przed tem był silny, zdrów i korpulentny. Zmarły przeżył lat 37. Był to, istotnie, literacki talent niepospolity — poezje, których napisał sporą wiązkę tchną niezwykłą siłą przekonania i języka, którym często, jako poeta, władał świetnie... Socjalista w szlachetnem pojęciu, pod tym względem błąkał się w swoich społecznych zasadach i patrjotyczna dusza polska na każdym kroku wychodziła u czerwonego socjalisty... W ostatnich latach, z powodu zaszłych zmian w wydawnictwie „Kurjera Lwowskiego“, którego redakcji był członkiem, a nawet odpowiedzialnym redaktorem, ś. p. Czerwieński był przygnębiony — czuł się, bowiem, otaczany i ściskany atmosferą, z którą w duszy nie sympatyzował, a służyć jej musiał... Bliżej świadomi utrzymują, że na umysł ś. p. Spausty te same stosunki deprymujący wpływ wywarły, ten, bowiem, był zdecydowanym antisemitą, podczas, gdy Czerwieński, o tyle przeciwny był izraelitom, o ile ci, jako martwi kapitaliści wyzyskują istotną pracę ludzką, a w naszych stosunkach polskich nie stanowią siły dodatniej... Czerwieński napisał także parę prac na scenę — między innemi, trajedję: „Niewolnik“ — te jednak jego prace nie przechodziły granic mierności. Krytykiem teatralnym, gdy chciał i mógł, był głębszym — na teatrze, bowiem, znał się dobrze — równie był znawcą muzyki i śpiewu.

Klęska za klęską... Przez śmierć profesorów uniwersytetu Jagiellońskiego, Emila Czyrniańskiego i Zygmunta Wróblewskiego, nauka poniosła dotkliwą stratę. Obadwa świeżo zmarli uczeni, byli przyrodnikami: pierwszy specjalista chemik, drugi fizyk. „Chemia organiczna“ Czyrniańskiego, doczekała się trzeciego wydania i jest to dzieło europejskiej wartości. Ś. p. Czyrniański przeżył lat 64 — był rusinem. Ś. p. Wróblewski przeżywszy zaledwie 43 lat, znany był szerszemu światu przyrodników i zajmował katedry na uniwersytetach w Strassburgu i Monachium. Była to pierwszorzędna siła naukowa, bystra, kombinująca i cierpliwa w badaniach. Skroplenie gazu było dokonaniem ostatniem ś. p. Wróblewskiego, za które otrzymał nagrodę z niemieckiego zapisu. Ś. p. Wróblewski pochodził z Grodna, był w uniwersytecie Kijowskim, po tem w powstaniu 1863 r., następnie zesłany był na Sybir, ztąd uwolniony wyjechał za granicę i poświęcił się nauce, dla której pomimo młodego jeszcze wieku, tyle zdziałał i tak zaszczytne wśród uczonych przyrodników zajął stanowisko, roznosząc sławę imienia polskiego.

Kamerdyner mego dziadka.

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Ciąg dalszy).

Rzuciłem się ku niemu z radością, ale wnet ostygłem; Jan, bowiem, wyprostował się, stanął w pozycji dobrze wytresowanego lokaja i dodał, ze spokojem wprawdzie, ale z jakimś przygnębionym, choć serdecznym wyrazem.

— Pamiętam... i gdyby nie było ciemno na schodach, byłbym poznał panicza, czy można już podać herbatę?

— Proszę! a więc to ty jesteś, ty ten Jan, o którym tak często wspomina moja matka, którego tak lubi i...

Oblicze Jana rozpromieniło się, o ile mogła się rozpromienić sześćdziesięcioletnia maska.

— Jaśnie pani mnie pamięta — mówił z dziwnie dobrym uśmiechem, lecz też dziwną obojętnością.

— A jakże! doskonale! nieraz, prawie codzień ciebie mój stary Janie wspomina, — mówiłem wpatrując się w oblicze kamerdynera, które znów było zakłopotane.

Zmarszczył brwi, a mnie się zdawało, że oczy jego zaszły wilgotną łzą.

— Czy można podać jeszcze herbatę? — zapytał.

Zdziecinniał stary pomyślałem i poprosiłem o drugą filiżankę.

W chwili, gdy ją stawiał przedemną zauważyłem na twarzy Jana jakiś wyraz przestrachu.

Postawił i pospiesznym krokiem się oddalił, a gdy wrócił wkrótce, oblicze jego zwykłem jaśniało już spokojem.

— Cóż się stało? — zapytałem.

Kamerdyner spojrzał na mnie, jakby ze zdziwieniem, żem odgadł, iż się coś stało i cicho, jeszcze ciszej, niż przedtem, odpowiedział:

— Przywidziało mi się, że pan dzwoni.

— Więcej tego dnia z Janem nie mówiłem, gdyż wszystkie moje zapytania zbywał krótkiemi odpowiedziami i przechodził zaraz do porządku dziennego.

Odprowadziwszy mnie do przygotowanego apartamentu i rozebrawszy, stanął we drzwiach ukłonił się i rzekł:

— Pan wstaje o ósmej... Życzę dobrej nocy jaśnie panu.

— Dobranoc ci mój Janie! — odparłem — a nadal nie mów mi jaśnie panie, boć przecież mnie wychowałeś.

Jan spojrzał na mnie ogłupiały i nic nie mówiąc wysunął się.

Słyszałem, jak szedł przez cały szereg pokoi, jego kroki zdradzało tajemnicze skrzypienie posadzki, a gdy i to ucichło, straszna zapanowała w tych komnatach cisza.

Tik... tak... tik... tak... zegara dochodziło z sali, posadzka czasem prysła, jakby kto nastąpił lekko na nią, to znów trzasnął suchy machoń mebla, to zadźwięczał kryształowy żyrandol od dalekiego turkotu powozu na bruku ulicznym.

Zimno było w tych komnatach, które mimo portretów przodków, wojewodów i kasztelanów, wiszących na ścianach i nie poruszanych od przeszło stu lat, wiały rachunkiem i cyfrą quasi-bankiera.

Usnąłem, a we śnie powracał często ten Jan sztywny i zimny, do którego przecież uśmiechałem się serdecznie. Słyszałem te przytłumione jego kroki i widziałem zakłopotaną i niczem nie dającą się poruszyć twarz, a pamiętny przysłowia bałem się i jego pana.

Pierwszy raz w życiu oczami własnemi miałem ujrzeć mego dziadka, który w pojęciach moich wszczepionych przez przywiązanie doń głęboko matkę, był pierwszą osobą w rodzinie.

Ta chwila nadeszła.

Z uderzeniem godziny ósmej wszedł do mnie Jan, stanął w progu i wyszeptał:

— Pan czeka w gabinecie.

Serce mi zakołatało silniej i poszedłem za nim. Kamerdyner mimo swych cichostępów szedł prawie na palcach, a ja, o ile mogłem starałem się go naśladować.

Jan się obrócił, skłonił i odszedł.

Przedemną na fotelu, z nogami wyciągniętemi na taborecie, leżał mój dziadek.

Przywitał mnie zimno, bo tylko podał rękę do pocałowania, mówiąc z pewną podniosłością w głosie.

— Jak się masz kawalerze? wyrosłeś, jak sosna i przystojny zrobił się z waćpana młodzieniec — no siadaj i opowiadaj mi o matce.

Tak byłem uderzony niezwykłą postacią mego dziadka, iż przez chwilę zapomniałem języka i usiłowałem tylko zdać sobie sprawę z położenia.

Dziadek mój był mężczyzną ogromnego wzrostu i tej charakterystycznej postawy, jakie u nas coraz są rzadsze. Mimo swych sześćdziesięciu i kilku lat, wyglądał młodo dzięki głównie swym blond włosom, które gdzieniegdzie tylko siwiały i czerstwej cerze twarzy. Ta twarz imponowała swym wyrazem nadzwyczaj poważnym, dumnym i pięknym. Chuda, koścista i wygolona, o przenikliwych siwych oczach, o najregularniejszych i bardzo pięknych rysach, uderzała swą szlachetnością.

Włosy dziadek nosił bardzo starannie, według ówczesnej mody zaczesane, a po obu bokach twarzy pozostawiał faworyty krótkie, szerokie i przystrzyżone.

Ubrany był podług ostatniej mody, w jasną aksamitną kamizelkę w szeroką kratę z złotymi guzikami i w granatowy surdut z ogromnemi klapami. Kołnierz koszuli wywinięty był dostatnio na halsztuku jedwabnym.

Przykuwał mnie i paraliżował. Zaledwie mogłem odpowiadać na jego pytania, tak byłem zdziwiony niepowszedniością typu mego dziadka.

Głos jego był szorstki i urywany, zapytania zwięzłe i płynne, gra oczu zdradzała myśl zazwyczaj bystrą i ruchliwą. Czasem syknął z bólu i chwytał się ze złością za kolano, zdradzając, że cierpiał na reumatyzm. Czasem zamyślał się, ale na bardzo krótko. Ręką uderzył w nogę i już był całą myślą w przedmiocie, o którym mówił, lub słuchał.

Dziadek mój, wydał mi się bardzo rozumnym człowiekiem, lecz bardzo też zimnym, wymagającym, niewyrozumiałym i despotycznym. Odmówić mu bezwzględnego posłuszeństwa, zdawało mi się niepodobnem, ta twarz i postać umiała rozkazywać i kazać się słuchać.

Zegar uderzył dziewięć razy. Dziadek wstał i stanął, jak olbrzym, przerażając niemal swym wzrostem i budową kościstą; to zaś, że się trzymał pochyło nieco w ramionach, dodawało jeszcze całej tej niezwykłej postaci, jakiegoś nieokreślonego charakteru.

— Kawalerze! — zawołał z pewnym jakby humorem — teraz pójdziemy na śniadanie.

Wsunął swą rękę pod moje ramię i lekko utykając na nogę, poprowadził mnie do sali jadalnej.

Jan stał z serwetą w ręku; — wargi mu drżały więcej, niż zwykle, zresztą był to ten sam zasuszony człowiek.

— Zapoznałeś się zapewne — przemówił do mnie dziadek siadając — z mym starym Janem, który służy u mnie lat czterdzieści i dotąd nie nauczył się, ani służyć, ani mówić, ani chodzić, ani myśleć. Patrz! do czego to podobny kamerdyner pana senatora?

Żal mi było starego sługi, milczałem więc, a dziadek zagadnął znów Jana.

— Czy pan sekretarz wrócił?

Jan wpatrzył się w twarz swego pana i, czy nie dosłyszawszy zapytania, czy też przygnębiony jeszcze świeżo usłyszanymi komplementami milczał, a wargi drgały mu ciągle.

— Pytam ci się — huknął już mój dziadek — czy pan sekretarz wrócił? Ogłuchł na domiar nieszczęścia, kawalerze, czyś widział kiedy takiego niedołęgę?

Ja milczałem, a Jan odparł przytłumionym swym głosem.

— Wrócił.

— Mów głośniej, bo nie słyszę — zawołał dziadek widocznie już zirytowany.

— Wrócił! — powtórzył Jan głośniej.

— Głośniej! — zawołał znowu, już, jakby w formalnej pasji, dziadek.

— Wrócił! — odparł Jan także lekko zarumieniony na policzkach.

— Ot, — odparł dziadek — nareszcie... choć teraz znów za głośno...

Zaczęliśmy śniadanie, składające się z herbaty i zimnych mięsiw. Mój dziadek pił bardzo tęgą herbatę i jadł tylko cztery jaja na miękko.

— Kawalerze! — przemówił — nie stosuj się do mnie i dysponuj w moim domu, jak u siebie; umarłbyś z głodu chcąc żyć tem, czem ja żyję. Proszę więc... rozkazuj!... choć będziesz miał kłopot z tym niedołęgą, który zupełnie nie rozumie, by ktoś mógł mieć inne gusta, czy apetyt, odemnie.

Litowałem się nad biednym starym sługą, będącym widocznie tarczą, o którą się odbijały wszystkie humory despotycznego charakteru dziadka.

Po śniadaniu, przeszliśmy napowrót do gabinetu. Wychodząc z sali, dziadek się obrócił do Jana i wyrzekł:

— Przez godzinę nie będę się widział z nikim.

Jan głową skinął, na znak, że zrozumiał.

— Pan sekretarz może poczekać na dole — dodał jeszcze dziadek.

— Dobrze! — odparł służący.

— Wiem, że dobrze... — cierpko dorzucił dziadek, — a nie stukaj tak, bo mnie dziś wszystkie nerwy bolą, — dodał z okazji, że Jan, widocznie roztargniony, lekko trącił szklankę na bufecie.

W gabinecie dziadek mój położył się, jak poprzednio na fotelu i wskazując mi przy sobie krzesło, tak zaczął:

— Kawalerze słuchaj! Los fatalny chce, że z chwilą twojej pełnoletności. zastajesz fortunę mającą ci kiedyś przypaść. w opłakanem położeniu. Bankructwo generalne w kraju, niedojrzałym jeszcze na polu handlu i przemysłu, odbiło się i na moich interesach. Sam nie wiem, czy wypłynę, czy też wraz z innymi zginę. Wezwałem cię dla tego, by ci oddać tę lawirującą już łódkę, sam czując się bezsilnym. Wszakże, interesa moje w gruncie rzeczy nie są tak złe. Mur czasem pryśnie i pochyli się, a najbieglejszy architekt nie powie, czy się jutro zawali, czy wieki jeszcze stać będzie. Te interesa będziesz się starał dziś jeszcze objąć okiem i bystrością, zapewne ci wrodzoną. Sekretarz mój, pan Winter, który ma już odpowiednie polecenie, objaśni cię szczegółowo, ty zaś w tych dniach obejmiesz kierownictwo i zastąpisz mnie na jakiś czas...

Dziadek syknął z bólu. urwał i znów dalej zaczął.

— W interesach handlowych czasem, fatalnym zbiegiem okoliczności. nadchodzi chwila najstraszniejsza, chwila kryzysu, w której reprezentant zachwianej firmy musi się z widowni usunąć. Ta chwila, czuję to, i dla mnie nadchodzi. Usunę się na czas jakiś nieokreślony i rad jestem, przynajmniej, że w takim momencie, mogę zdać cały ciężar trudnej sytuacji na przyszłego, naturalnego mego zastępcę. Otrzymałeś wykształcenie fachowe i rozumiesz, że są pozycje, handlowe, w których nieskazitelny reprezentant firmy może...

Dziadek urwał znowu i twarz jego okryła się szkarłatem, odpoczął i dalej ciągnął pospiesznie.

— Wyjadę za granicę, najbliżej, by módz jeszcze być ci pomocnym radą i doświadczeniem. A ty, kawalerze, przez czas tej ciężkiej próby, nie daj się zbić z tropu niczem. Niech cię nic nie przeraża i nie zniechęca. Nie trać głowy, ani wiary w siebie, chyba razem z życiem. Mądre hamburgskich bankierów przysłowie więcej cię nauczy, niż długie moje napomnienia. To przysłowie mieści w sobie całą mądrość moralną bankiera, a takim, choć bez firmy od dziś jesteś. To przysłowie brzmi:

»Geld verlohren — nichst verlorhen.
Credit verlohren — viel verlohren.
Muth verlohren — alles verlohren!«

To powiedziawszy, dziadek wstał i polecił mi się udać na dół do pana Wintera i swoich biur.

Gdym wychodził jednak — rzekł jeszcze.

— Przeczuwam, iż w przejściach następnych i najbliższych dni, ważną rolę odegra niejaki Pinkus Kornblut, żyd. Ten człowiek, od którego, w największej części, przebieg mych interesów zależeć będzie, jest dzisiaj — mówię — bogaczem, chociaż był on najprzód u mnie chłopcem do posełek w gorzelni, później pachciarzem, faktorem i dzierżawcą. Przedemną stoi i mówię mu »ty« i stary Jan także mu »ty« mówi...

Dziadek się nerwowo roześmiał i kończył.

— Ten Pinkus podobno może przeważyć szalę w mych interesach i to jest główny powód, dla którego usunąć się muszę.

Dziadek, którego twarz wyrażała wielkie cierpienie, żelazną wolą trzymane na wodzy, skinął głową na znak, że skończył i, że mogę odejść.

W przedpokoju zastałem już kilku interesantów i jeszcze nie zdążyłem wyjść na schody, zajęty odszukaniem kapelusza i rękawiczek, gdy zjawił się Jan i głosem mi nieznanym, bo silnym i ostrym zawołał.

— Pinkus do pana!

Obejrzałem się. Jakiś cywilny pan. o żydowskich rysach wstał i powolnym krokiem poszedł za Janem. Zauważyłem też przytem jakąś dziwną wymianę spojrzeń nienawistnych między nim, a starym sługą, a objaw ten, w spokojnych i łagodnych oczach Jana, zdziwił mnie mocno.

Tym poważnym panem był Pinkus.

Do późnego wieczora pracowałem pod dyrekcją pana Wintera, jak nigdy, by objąć umysłowo chaotyczny nawał zachwianych, a rozległych interesów. (C. d. n.)

Teatr.

Dwie błachostki przedstawiono po raz pierwszy na scenie lwowskiej: jedną tłumaczoną z niemieckiego p. t. *Teodolinda* jakiegoś nieznago autora, drugą oryginalną Aleksandra hr. Fredry pt. *Śmierć i żona od Boga przeznaczona.*

Teodolinda, **osnuta na grubych, zmysłowych nieporozumieniach i ekiwokach, usuwa się z pod krytyki; *Śmierć i żona od Boga przeznaczona*, nie pozbawiona jest pewnego rodzimego humoru, ale jest to robota bardzo słaba. Podnosili ją dobrą grą artyści, z pomiędzy których prim trzymał pan Wojdałowicz.**

Dawno niegrane „Życie paryskie“ w tych dniach wznowiono u nas. Sala była przepełniona — dobre signum temporis... Obsada, oczywiście. cała była zmieniona i... nie było, tak, jak było, chociaż to „Życie“ ku starości, dobrze się pochyliło...

Pani Zimajer, jednak, jak dawniej, tak i teraz jeszcze więcej była niezrównaną rękawiczniczką, a dzielnie jej sekundował p. Skalski — z wyjątkiem jeszcze pani Kasprowicz, reszta ról wypadły dość blado i szablonowo.

Wznowienie ekscentrycznego dramatu szwedzkiego p. t. *Nora*, dało sposobność pani Stachowicz rozwinąć piękne właściwości jej talentu w tytułowej roli — zauważyć jednak musimy, że gra utalentowanej artystki nie była równa i, że pewne momenta roli, nie leżą w naturze i temperamencie artystycznym pani Stachowicz. Pan Kwieciński, jak dawniej, tak i obecnie, rolę doktora, grał wspaniale. Słówko o panu Hierowskim. Z powodu gry jego w „Norze“, jako czarnego charakteru, przyszliśmy do przekonania, że gdyby artysta ten, jeżeli nie specjalnie, bo to w naszych stosunkach nie możebne, ale przewa żnie, poświęcał się tego rodzaju kreacjom scenicznym, to niezawodnie w krótkim przeciągu czasu, wśród artystów dramatycznych polskich, nie znalazłby sobie równego — to nie ulega wątpliwości — ma on wszystkie po temu warunki i jedynie pozbyć się należy afektacji, które czasem w grze pana Hierowskiego razi.

Hernandez — taki jest tytuł farsy z francuskiego tłomaczonej, którą po raz pierwszy w tych dniach na lwowskiej scenie przedstawiono.

Jak tu się wziąść do tej staruszki, — pamiętającej świetne czasy Napoleona III., kiedy to operetka i farsa poczęły swoje panowanie na scenach paryskich... Wówczas, nawet taki Augier, umysł poważny, nie zawachał się pożyczyć na afisz swego nazwiska Labich'owi, bo Labiche jest jego krewny, a farsa w modzie — ztąd powstała, jeszcze Augier'a spółka z Labich'em. Od lat trzydziestu *Hernandez* nie jest grany na scenach francuskich — sama jej faktura, robota, jest za dziecinna i za studencka, aby dla dwóch, lub trzech scen nie złych, zasługiwała na tłomaczenie... Gdyby który z naszych autorów oryginalnych przedstawił coś podobnego, to by mu sprawiono taką łaźnię, że lekarz musiałby nad restauracją biednego polskiego autora stracić. przynajmniej rok, to jest tyle czasu, ile pan Emil Drobner doktor medycyny, chirurgji i akuszerji potrzebował do przetłomaczenia *Hernandeza...*

Uszczknęliśmy także kilka kwiatków językowych, jak: „mam ogromną truciznę w tym pierścieniu“, „uraziłeś mnie“, „nie jedz nic, dopóki stąpasz po Europie“ „chleb i ser stoi“, „zdepoety zować“ i t. p.

Grali doskonale i to trochę ratowało *Hernandeza*, pani Kwiecińska, oraz panowie; Frenkiel, Kwieciński i Wojdałowicz — dopomagali im w mniejszych rolach, państwo Piaseccy, a kręcili się, jak piąte koło u woza, niewinni temu oczywiście, panna Wilkus i pan Wysocki, młode małżeństwo, szukające wygodnych hoteli.

Z życia książkowego.

Bardzo rzadko przychodzi nam pisać coś z życia... książkowego, a już z dziedziny poezji, jako sprawozdawcy, to doprawdy, nie pamiętamy, kiedy zatrzymaliśmy uwagę naszych czytelników. Krytyka ściśle literacka, ze względu na popularność pism naszych, nie może stałego miejsca w nich zająć, pobieżne zaś notatki o wychodzących książkach, suche i bibliograficzne, nie uważamy za pożyteczne dla tego, że tylko je dorywczo robić można.

Jeśli mamy prawdę powiedzieć, to nad wszelkimi utworami poetycznymi naszych pokaleczonych życiem, lub też utuczonych na życiu, tegodniowych „wieszczów“, z bardzo, a bardzo małym wyjątkiem, najlepiej przechodzić do porządku dziennego i wcale nie zasmuciliby się aniołowie w niebie i nie zatęskniliby ludzie na ziemi, gdyby we wszystkich językach *rymarze* literatury, zamilkli zupełnie...

Ale i wśród tej rzeszy szarej, płytkiej, zapalającej się na zimno, z obmarzłą piersią rezonującej na gorąco, piszącej modlitwy do Matki Boskiej Częstochowskiej, a nie wierzącej w nic, wśród poetyzujących patrjotów wymyślających na ludzi, którym do kolan nie dorośli — i wśród tej rzeszy, prawdziwy talent, choć nie jasnością słońca, ale jednak rzetelnym blaskiem i ciepłem, wyróżnić się zawsze zdoła. Takiego właśnie doznaliśmy wrażenia odczytawszy świeżo wyszłą wiązankę rymów z teki dziennikarza napisaną przez p. Lubina Ilasiewicza p. t. *Z nurtów życia*. Autor, jest obecnie z zawodu dziennikarzem — widział więc wiele, doświadczał jeszcze więcej, nauczył się nie mało, a wśród gorączkowego życia przy warczącej prasie drukarskiej i twardych okoliczności wśród których dziennikarz polski pracować musi, lepiej, niezawodnie, poznał ludzi, aniżeli nie jeden mól książkowy... Ta znajomość serc ludzkich, pewna pobłażliwość i serdeczna satyra, są charakterystyczną cechą niemal wszystkich utworów znajdujących się w książce Ilasiewicza.

Dziennikarz — poeta, jakim jest Ilasiewicz, potrąca niejednokrotnie o zasady szersze, polityczne natury i tu przeważa zawsze patrjotyczny publicysta nad natchnionym poetą... Niektóre rzeczy w *Nurtach życia*, jak n. p. „Dedykacja“, „Dla mojej dzieciny“ i inne, są prawdziwemi perłami lirycznemi.

W ogóle, *Z nurtów życia* jest książką pod każdym względem wyróżniającą się — prace w niej zawarte, nie równe wprawdzie, pod względem siły, kolorytu, natchnienia i wartości literackiej, nacechowane są prawdziwym talentem poetyckim, zabarwionym pewną pogodną, a spokojną filozofją życia, chwytającym za serce liryzmem, satyrą, a tu i owdzie nie kłamanym humorem.

Odpowiedź od Redakcji i Administracji.

P. U. w Z. Nie można.

P. Wi. w K. „Ognisko domowe“ przestało od 1. Kwietnia wychodzić — należy się zgłosić wprost do wydawców ze swoją pretensją, t. j. do pana Ciesielskiego, który jest również profesorem uniwersytetu lwowskiego i mieszka w swoim własnym domu przy ulicy Łyczakowskiej; wspólnikiem wydawnictwa był także pan Zamorski.

Pp. Autorom wierszy: „Ptak“ i „Tulipan“ — nie będą drukowane.

P. Mi. w Krakowie. Może później — teraz już byłoby za wiele zajmować się takiem indywiduum — zresztą, tam na miejscu trzeba się o to starać.

P. Fr. D. Buczyńskiemu w Samokin, w Ameryce. Dwa dolary otrzymaliśmy, ale na przyszłość prosimy wysełać pieniądze nie w zwykłym, lecz rekomendowanym, albo pieniężnym liście, bo mogą zaginąć i ztąd wynikną nieporozumienia. Zaległe numera „Gońca“ i „Iskry“ wysłaliśmy.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn.

Z drukarni „Gazety Narodowej“ ulica Kopernika l. 5 — Telefon Nr. 117.